Rocznik I. Kraków 15-go listopada 1907. Nr. 2.

NASZA SKARBNICA

wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 15-go.

Prenumerata „NASZEJ SKARBNICY“ wynosi:
w AUSTRYI na rok 3 korony — na pół roku 1 kor. 50 hal. — Do NIEMIEC na rok 3 kor. 50 hal. — Do AMERYKI na rok 1 dolar.

ADRES do przesyłania prenumeraty:
Redakcya „NASZEJ SKARBNICY“ w Krakowie, ul. Wolska 28.

Jak walczyć z cholerą.

(Kilka uwag spisanych przez Dra Idzikowskiego z Królestwa, a podanych swego czasu przez pisma warszawskie).

Niechaj nie obawiają się cholery ci, co mają zamiłowanie do czystości, bo czystość ciała, bielizny i ubrania, porządek w mieszkaniu i koło domu jest zgubą dla zarazków cholery.

Niechaj nie obawiają się trzeźwi (niepijący wódki, piwa, wina i t. p.), bo mają nerki zdrowe i odporne na zarazki cholery.

Niechaj nie obawiają się umiarkowani i wybredni w jedzeniu, bo tacy tylko mogą mieć dobre trawienie, a ciało ich może być dobrze odżywiane, co czyni ich niepodatnymi do zachorowania.

Niechaj nie obawiają się ci, co nie palą, bo tytuń nie zatruwa ich krwi i ciała i nie osłabia ich przed walką z cholerą.

* * *

Należy dbać o **czystość, póki nikt jeszcze w domu nie zachoruje.** W tym celu każdy powinien:

kąpać się przynajmniej dwa razy na tydzień;

myć ręce mydłem, mydląc 3 minuty, nie tylko rano i po pracy, ale również przed jedzeniem i po każdem jedzeniu. Tyleż razy **płukać usta;**

bieliznę zmieniać co najmniej dwa razy na tydzień

podłogi myć mydłem szarem i terpentyną co tydzień;

usunąć z domu (najlepiej spalić) wszelkie niepotrzebne **gałgany i odpadki,** szczególniej z pod łóżek i z za pieców;

naczynia do wody myć codziennie;

studnie, jeżeli są zaniedbane, oczyścić lub pogłębić, i nadal w czystości utrzymywać;

dbać o czystość **ścieków** ulicznych i na podwórzach. Ścieki służyć powinny jedynie do spływania wody deszczowej;

kałuże na podwórzu zasypać;

pomyje wylewać do wychodków, a śmieci wyrzucać do dołów wykopanych na to zdala od domu;

ściany w wychodku smarować smołą raz na tydzień;

doły w wychodku zlewać mlekiem wapiennem (wapnem gaszonem) świeżo przyrządzonem lub wapnem bielącem (»chlorkiem«) co trzy dni [1]).

Gdy kto w domu zachoruje:

materace, pierzyny, poduszki puchowe wynieść do komory, bo później trudno oczyścić je z zarazków;

chorego ułożyć na sienniku ze słomy i poduszce z siana;

wypróżnienia i wymiociny chorych natychmiast wynosić i wylewać do dołu w wychodku, a naczynia spłukiwać mlekiem wapiennem;

bieliznę i ubranie zanieczyszczone przez wypróżnienia lub wymiociny chorego, natychmiast włożyć do gorących mydlin z mydła szarego, gotować w nich 24 godziny, a dopiero potem uprać;

obuwie zanieczyszczone przy chorym zmyć szarem mydłem i wodą;

słomę i siano z sienników i poduszek po chorym zaraz spalić;

gałgany i odpadki spalić;

naczynia kuchenne i stołowe myć gorącym rozczynem sody (na garniec wody sypać w tym celu 4 łyżki sody gryzącej);

stoły, stołki i krzesła szorować gorącym rozczynem mydła szarego [2]);

---

[1]) Mleko wapienne przyrządza się tak: kwartę tłuczonego czystego palonego wapna wrzuca się w naczynie drewniane, zawierające trzy kwaterki wody. Skoro wapno wciągnie wodę, rozpadając się przytem na proch, dolać jeszcze trzy kwarty wody i wymieszać. Mleko wapienne powinno być do polewania świeżo przyrządzane.

[2]) Mydło szare rozpuszczać w wodzie gorącej tak, żeby wypadało go ćwierć funta na 25 kwart wody.

podłogi szorować mydłem szarem i terpentyną co drugi dzień;

ściany bielone zlewać mlekiem wapiennem, a obicia papierowe czyścić chlebem (okruchy potem palić);

wypróżnienia i wymiociny napotykane koło domu, za budynkami, na ulicy i po drogach natychmiast oblewać mlekiem wapiennem i zakopywać.

*
* *

Należy **wyrzec się wódki, piwa, araku** i t. p., a natomiast można pić:

1) słabą herbatę, bo herbata, szczególniej gorąca, najlepiej gasi pragnienie;

2) wodę przegotowaną z miętą (naparza się pół łyżeczki mięty w kwarcie wody), z sokiem cytrynowym lub owocowym.

Uwaga. Wodę surową można pić tylko wtedy, gdy jest pewność co do jej czystości, więc: wodę źródlaną, wodę z wodociągów, wodę ze studni głębokich i czysto utrzymanych.

Kto palił **tytuń,** ten powinien odzwyczaić się od niego. Szczególniej szkodliwie działa tani tytuń i mocne cygara, bo pozbawiają chęci do jadła i osłabiają trawienie.

Nieprawdą jest, jakoby dym tytuniowy gubił zarazki cholery.

Umiejętne odżywianie się jest najlepszą bronią w walce z cholerą. Należy zatem:

zachowywać dawny sposób życia;

nie wychodzić z domu naczczo;

jadać umiarkowanie;

jeść bez pośpiechu, a po jedzeniu wypocząć;

unikać niedojrzałych, jakoteż i przejrzałych owoców;

unikać pokarmów nadpsutych, szczególniej nieświeżych — mięsa, kiełbas, ryb, pokarmów stęchłych, jakoteż i niedogotowanych lub niedopieczonych,

nie jadać w izbie, w której jest chory;

kto od pewnego czasu cierpi na żołądek, kiszki, wątrobę, nerki, niech się poradzi lekarza, co i jak jadać.

Leczenie w cholerze.

Chorego położyć do łóżka natychmiast, gdy pokażą się pierwsze objawy choroby, to jest biegunka lub wymioty.

Kłaść gorące okłady na brzuch; niech chory nic nie je, może natomiast pić herbatę gorącą ile chce, napar mięty, lub kleik z kaszy ugotowany. Gdyby objawy choroby nie ustąpiły po kilku godzinach, to wezwać lekarza.

Gdyby następowało szybkie pogorszenie a lekarz nie przybywał, nacierać całe ciało i wykąpać chorego w wodzie gorącej.

Po każdej czynności koło chorego, obmyć sobie starannie ręce mydłem i wodą.

PIERWOTNA POLSKA.

Słowianie, praojcowie nasi, przybyli do Europy z Azyi — jak dowodzi nauka — i zajęli tak zwaną nizinę Sarmacką, ciągnącą się od gór Uralu i od Kaspijskiego morza, aż po Łabę, Wisłę i Odrę. Historya wspomina o nich dopiero mniej więcej w 700 roku po Chrystusie.

Było to plemię rosłe, silnie zbudowane, o niezbyt białej cerze i płowych włosach. Pisarze z przed 1200 lat chwalą prostotę ich obyczajów, pracowitość, wytrwałość na zimno i niedostatek, łagodność w obchodzeniu się z jeńcami, szczerość, a przedewszystkiem gościnność; zarzucają im tylko swarliwość i porywczość. Nie byli wojowniczego usposobienia jak Niemcy, a za broń chwytali jeno w potrzebie. Bronią ich były małe tarcze (szczyty), oszczepy i strzały, nie znali pancerzy i walczyli pieszo. Lubili śpiew, muzykę i tańce; pisma nie znali wcale.

Ubogie chaty budowali daleko od siebie i dlatego zajmowali rozległe bardzo przestrzenie. Rodziny łączyły się razem. Stanowiły całą osadę i zamieszkiwały ją wyłącznie. Razem więc gospodarowali, mieszkali i dorabiali się stryjowie, stryjeczni dziadowie, stryjeczni bracia, ich synowie i wnuki, ich żony, siostry i dzieci. Cała ta rodzina tworzyła ród, a mienie ich — było wspólną własnością. Głową rodu był najstarszy wiekiem, on miał wszelką władzę, był nieograniczonym panem wszystkich i wszystkiego, wyznaczał zajęcia i roboty.

Bywały rody mniejsze i liczniejsze, po kilkanaście osób i sto kilkadziesiąt. Nie mogli też wszyscy bez końca sie-

dzieć na jednem miejscu. Musiał nadejść czas, że pewien obszar ziemi nie mógł już wyżywić rodu zbyt licznie rozrodzonego. Część rodu oddzielała się wtedy, dostawała część mienia i przenosiła się nieco dalej, tam zakładała nową osadę, nowy ród, którym znów rządził najstarszy wiekiem.

I tak szło coraz dalej i dalej, aż z rodu wskutek podzielenia się na kilkanaście, kilkadziesiąt, a nawet kilkaset rodów powstało plemię, z kilku sąsiadujących ze sobą plemion lud, a z ludów powstał naród. Pokrewne narody, mówiące podobnymi językami, stanowią szczep. My np. jesteśmy narodem polskim szczepu słowiańskiego, do którego oprócz nas należą narody: rosyjski, czeski, małoruski, słowacki, kroacki, serbski, słoweński i t. d.

Nazwa »Słowian« pochodzi od wyrazu »słowo«. Sami Słowianie obejmowali tą nazwą tych, którzy się »wysławiali«, t. j. zrozumiale mówili, gdy przeciwnie sąsiadów, których mowy nie rozumieli, nazwali »niemymi« czyli Niemcami. Ludów polskich było pięć. Najdalej na południu u podnóża gór karpackich mieszkali Lachowie, nad Wisłą Wiślanie, dalej w dół Wisły Mazowszanie, na zachód od Mazowszan, również nad Wisłą Polanie, a od tych najdalej na północ, nad morzem Bałtyckiem Pomorzanie. Ze wzrostem ludności, ludy te rozszerzały swe siedziby, od Polan odłączyli się i nowe osady potworzyli Kujawiacy i Ślązacy, a Lachowie rozszerzając się na wschód, zajęli krainę ciągnącą się aż po dorzecze Dniestru, ku ziemiom Małorusinów i założyli tam grody zwane czerwieńskimi.

Głównym żywicielem Słowian był — jak to już wiemy — las. Tam roiło się od dzikich pszczół, którym bartnicy z dziupli wybierali miód i wosk, tak, że nie trzeba było hodować pszczół w ulach. Tam na leśnych łąkach wypasano stada bydła, a w dąbrowach trzody nierogacizny. Borów i lasów było bez porównania więcej niż uprawnej ziemi, to też pasterzy i myśliwych było bez porównania więcej niż rolników. Zwierza było w bród. Dziesiątkami i setkami mil lasy i bory, a wśród nich tak mało osad ludzkich i tak daleko jedna od drugiej, że śmiaio można powiedzieć, cała północno-wschodnia Europa była jedym wielkim lasem i zamieszkana nie tyle przez ludzi, ile przez zwierzęta! U Polan, Kujawiaków i Pomorzan nieco mniej było zwierzyny, a za

to nadzwyczajna obfitość ryb, bo przed tysiącem lat było tam pięć razy więcej wody, niż ziemi.

Żaden z pięciu ludów nie tworzył wówczas porządnego państwa. Stykały się one z sobą jeno po to, by wymieniać wzajemnie pomiędzy sobą to co posiadali. Ci co mieszkali nad rzekami, dostarczali mieszkającym wśród lasów ryby, a w zamian otrzymywali futra i mięso. Rolnicy zaś dawali za futra czy za ryby zboże. Pieniędzy bowiem w owe czasy nie znano.

Nie znano także urzędników, sędziów, lekarzy. Głowa rodu był wszystkiem i sędzią, i lekarzem, on odprawiał modlitwy, rozstrzygał spory, uczył, opowiadając to, co sam wiedział, wreszcie dowodził rodem, gdy przyszło bronić się od napaści. Gdy szło o sprawy plemion albo ludów całych, wtedy ojcowie rodów zbierali się na naradę, którą nazywano »wiecem«.

Głowy rodów, zwane »kmieciami«, zbierały się na zielonych polanach pod starymi dębami i tam radziły nad sprawami ludu, karały rabusiów, rozstrzygały spory między rodami i plemionami, obmyślały sposoby rozstrzygnięcia sporów z sąsiednimi ludami. Uchwały wiecu wykonywał najstarszy kmieć, starostą albo żupanem, a gdzieniegdzie księciem zwany. W chwilach wielkich niebezpieczeństw stawał na czele ludu nie najstarszy, ale najmądrzejszy, najdzielniejszy i on był wodzem, któremu wszyscy musieli być posłuszni. Z czasem ten najmądrzejszy i najdzielniejszy obejmywał władzę na stałe i rządził ludem jako książę.

W owe czasy naród polski był jeszcze pogański, nie znał prawdziwego Boga, ale domyślał się Go i czcił Stwórcę w postaci wielu różnych bożków. Najpowszechniejszej czci doznawał u Słowian Światowit [1]) bóg bogów, pan świata, władzca piorunów. Stawiano mu posągi z głową o czterech twarzach, na znak, że wszystko widzi i wszędzie się znajduje; w prawej ręce miał on róg obfitości, w lewej miecz.

Wierzono, że co noc objeżdża on świat cały. Radegast był bogiem gościnności i handlu; bóg sprawiedliwości zwał się Prowe, nie miał posągów, a świątynią jego były gaje starożytnych dębów, gdzie odbywały się też i sądy.

---

[1]) «Wit» znaczy w języku starosłowiańskim pan.

Winowajca, który zdołał schronić się w cień świętego dębu, nie mógł już być karany.

Słowianie sądzili, że jeden Bóg nie jest w stanie rządzić całym światem, a ma do pomocy mniejszych bożków, że Łada opiekuje się porządkiem na świecie, Lel Popel i Poświat rządzą urodzajami, deszczem i pogodą, Marzanna sprowadza śmierć, Dziewanna wiosnę, a po lasach snują się Rusałki, Jędze, Topielice, Wilkołaki, by czynić ludziom krzywdy i przykrości. Każdy zakątek lasu, każdy strumień, rzeka, drzewo miały swe opiekuńcze albo złe duchy, których się bano, którym składano ofiary.

Składano też ofiary i na grobach zmarłych, by dusze nieboszczyków miały pokarm i napój. Słowianie wierzyli, że dusze zmarłych mogą pomagać i szkodzić żywym: pomagają tym, którzy na to zasługują, szkodzą tym, którzy o nich zapomnieli. Sądzili, że dusze bywają głodne, potrzebują ubrania, sprzętów, broni, tak samo jak ludzie żywi. Dlatego też zakopywali razem z trupem, albo też palili razem z nim na stosie, wszystko, co zmarły posiadał za życia: żywność, narzędzia, broń, odzież.

Zakopywali w ziemi gliniane garnki zwane urnami, w których znajdowały się popioły spalonych na stosie rycerzy, zakopywali także małe dzbanuszki, zwane łzawnicami, bo zlewano w nie łzy, wypłakane po śmierci ukochanej osoby. Dziś jeszcze po całej ziemi słowiańskiej, jak długa i szeroka, odkopują ludzie t. zw. »żale«, czyli kamienie starannie obok siebie ułożone, pod któremi znajdują się urny z popiołami zmarłych, a obok tego różne przedmioty, których zmarli używali.

Cześć dla Światowita jest dowodem, że praojcowie nasi przeczuwali istnienie jednego Boga, widzieli w Światowidzie stwórcę świata, a przeczucie to było jakby świtaniem słońca wśród mroku nocy. A to słońce prawdy, zejść miało niedługo. Pobożni apostołowie szli już ku tym krajom dalekim, by uczyć ludy północy, wiary w jedynego wszechmocnego Boga, który z krzyża ogłosił nowe prawo, kazał ludziom kochać Stwórcę nadewszystko, a bliźniego swego jak siebie samego.

KAPŁAN-BOHATER.

W roku 1853 odbyła się w kościele katedralnym w Żytomierzu (na Wołyniu) najsmutniejsza i najboleśniejsza z wszystkich ceremonii, degradacya księdza przez Biskupa Borowskiego przedsięwzięta.

Mnóstwo obecnych w kościele płakało; nawet sam Biskup nie mógł się od łez wstrzymać, tem bardziej, iż mający być degradowanym kapłan z najlepszej strony ogólnie był znanym i czczonym.

Nazywał się Kobyłowicz i był proboszczem w Oratowie (Ukraina).

Już jako wikaryusz w Białej Cerkwi był on jako jeden z najpobożniejszych i najgorliwszych kapłanów dyecezyalnych w wysokim poważaniu, i był zaraz z początku jako kaznodzieja, a szczególniej jako spowiednik, sławnym.

Zostawszy proboszczem w Oratowie, zdwoił pasterską gorliwość i w krótkim czasie wyrestaurował i upiększył powierzony pieczy swojej kościół. Naraz, ku zdziwieniu wszystkich jego znajomych, oskarżono go, iż miał zamordować oratowskiego urzędnika gospodarczego.

Za główny dowód oskarżenia tego służyła dubeltówka, którą znaleziono w kościele za wielkim ołtarzem ukrytą, a która, jak dowiedziono, należała do proboszcza i z niej, jak się pokazało, przed niedawnym czasem wystrzelono.

Odnośna komisya ogłosiła proboszcza winnym, a sąd skazał go na dożywotną, ciężką przymusową robotę w Syberyi.

Po ukończonej degradacyi powiązano tego kapłana, ogolono mu włosy, kazano mu odzienie przywdziać i zaprowadzono go wraz z innymi więźniami na Sybir, gdzie 20 lat przebywał.

Po upływie tych dwudziestu lat wyznał organista oratowskiego kościoła na łożu śmiertelnem, w przytomności zastępcy władzy sądowej, jako też licznie zgromadzonych mieszkańców miasta Oratowa, że on był tym, który owego urzędnika gospodarczego zamordował, w tej myśli, aby się z wdową zamordowanego ożenić; że potem, aby podejrzenie na księdza zwrócić, dubeltówkę jego za ołtarzem ukrył, i władzę spowodował, że ją znalazła.

Wkońcu wyznania dodał jeszcze organista, że po uwięzieniu proboszcza męczarniami sumienia dręczony, w więzieniu go odwiedził, przed nim spowiedź świętą odprawił i w tejże przyznał się przed kapłanem jako właściwy sprawca zbrodni, lecz później nie miał odwagi, sam się przed sądem stawić i oskarżyć.

Księdzu Kobyłowiczowi był więc prawdziwy morderca z zeznań na spowiedzi znany.

Jedno słowo mogło go od ciężkiego oskarżenia uwolnić, ale to słowo byłoby pieczęć spowiedzi uszkodziło; dlatego wolał raczej degradacyę i robotę przymusową w Syberyi znieść i nawet, co jako kapłan zapewnie jak najciężej uczuwać musiał, uchodzić raczej za zbrodniarza, niż choć jednem słowem powierzoną mu w konfesyonale tajemnicę złamać.

Ksiądz Kobyłowicz stał się więc ofiarą swego powołania.

Przed sądem i przed Biskupem powtarzał tylko bezustannie:

— Proszę, proszę mi wierzyć, jestem niewinny.

Wskutek wyznania organisty, wydano, jak się samo przez się rozumie, rozkaz, aby niewinnie osądzonego i na Sybir wygnanego kapłana natychmiast na wolność przywrócić i jemu pełną sprawiedliwość wymierzyć.

Lecz biedny kapłan nie był już przy życiu.

Aż do śmierci, która krótko przed wyznaniem organisty nastąpiła, zachował on niezachwianie powierzoną mu tajemnicę spowiedzi — i jako »dobry pasterz«, oddał ją nieskażoną w ręce Najwyższego Sędziego.

Czczenie zmarłych i wiara w życie przyszłe.

Jest w przyrodzie jedno wielkie, bezlitośne prawo, niewzruszone prawo kresu, końca wszystkiego, co rośnie, kwitnie, oddycha i myśli. Wszystko co żyje, począwszy od roślinki, aż do człowieka, ulega temu prawu nieubłaganemu, co się śmiercią zowie.

Śmierć, to moment walki strasznej, która ostudza ciało życiem bijące, i wyciska łzy u tych, co zostają. W tej jednak chwili smutnej i bolesnej, mają pozostali ludzie tę

pociechę, że wierzą w dalsze życie zmarłego, w życie czysto duchowe poza grobem, które różne narody rozmaicie sobie wyobrażają, stosownie do swej oświaty i religii. I na tej właśnie wierze w życie pozagrobowe, opiera się czczenie zmarłych, w którem mieści się także i tem samem wiara w nieśmiertelność duszy.

Jak dawno istnieją ludzie — tak dawno istnieje i wiara w życie pozagrobowe, i cześć zmarłych, jak świadczą dzieje ludzkości. Znak to, że człowiek od wieków wierzył i sam przeczuwał, iż ma duszę nieśmiertelną — że więc nie ginie wraz z ciałem. Nawet dzikie narody, czyto Indyanie w Ameryce, czy różne szczepy murzyńskie w Afryce, pamiętają o zmarłych i wierzą w dalsze ich życie poza grobem, jak to widać z ich obrządków pogrzebowych.

Karybowie zabijają wszystkich niewolników na grobie swego naczelnika, zalecając im przed śmiercią, aby i na tamtym świecie wiernie swemu panu służyli. U wielu plemion dzikich grzebią umarłego z odpowiedniem jadłem.

W Dahomeju zabijają nie tylko po śmierci króla jego niewolników, ale i w rocznicę jego śmierci, a nawet w chwilach, w których, jak sądzą Dahomejczycy, należy zmarłemu królowi donieść jaką ważną wiadomość. Wtedy następca zmarłego króla wybiera jednego z pomiędzy jeńców wziętych na wojnie, tłumaczy mu jego posłannictwo, daje polecenie i nakazuje go zabić, aby dusza jego zaniosła sprawozdanie z czynności syna zgasłemu dawno ojcu.

W życie pozagrobowe wierzą więc nie tylko chrześcijanie, ale i poganie, chociaż ci prawdziwej religii nie znają.

Tak jest teraz, tak było i w najdawniejszych czasach, przed Chrystusem Panem.

U dawnych S ł o w i a n, naszych przodków, palono na stosie pana odzież jego, broń, psy, konie i wierne sługi. Litwini i starożytni Prusowie składali ofiary z ludzi, zwierząt i przeróżnych przedmiotów. Wierzyli oni, że na tamtym świecie każdy żyje i zmartwychpowstanie w godności, którą za życia zajmował: pan — panem, chłop — chłopem.

Litwini stawiali dom wielkiego kapłana, Krywe-Krywejto, na górze wysokiej i stromej, zwanej Anafielas. Dusze zmarłych musiały się na tę górę wdrapywać i przechodzić przez arcykapłański dom. Dlatego palono wraz ze zwłokami

pazury niedźwiedzie i rysie, aby dusze łatwiej dostać się na ową wyniosłość mogły.

U starożytnych Gallów grzebano zmarłego wraz z ulubionemi sprzętami; a tak mocno wierzyli oni w pozagrobowe życie, że ufali, iż długi nieuiszczone za życia będą spłacone po śmierci.

Przekonanie to dzielili już w czasach nowożytnych Japończycy, którzy, pożyczając pieniędzy, obowiązywali się wypłacać je wraz z procentami po śmierci.

W Grecyi dawano zmarłym do ust pieniądz zwany »obolem« na opłacenie przewoźnika Charona, który dusze przewozi w świat drugi. O tym obolu nie zapomnieli i teraźniejsi Grecy.

Ofiary i stypy pogrzebowe znane są prawie u wszystkich narodów. Niektóre z tych ofiar i zwyczajów przechowały się do naszych czasów u nas i na Rusi, i u innych ludów.

Pod krzyżem.

U stóp krzyża głowa moja
W szarym prochu leży,
Dookoła dolatuje
Cichy szmer pacierzy.

Kadzidlana woń kościelna
W górze się unosi,
I coś serce mi rozszerza,
I coś oczy rosi...

I pomału jakaś jasność
Złoci się przedemną
I rozwidnia duszę moją
Bolesną i ciemną.

Z plam mnie ziemskich wybielają
Niebiańskie promienie,
Od Chrystusa stóp skrwawionych
Idzie ukojenie...

Otom spojrzał okiem łzawem
W najświętsze Oblicze
I pierzchają po kolei
Wszystkie me gorycze.

Chrystus na mnie — na liść lichy
Pogląda, jak żywy —
O, Ty Boże! Mocny Boże!
O, Ty Miłościwy!...

I już do mnie nie dolata
Cichy szmer pacierzy,
Leży w prochu głowa moja,
W prochu serce leży.

Białych skrzydeł aniołowych
Migają mi blaski
I z warg drżących szept mój płynie:
»Łaski... łaski... łaski...«

Or-ot.

Jedno pytanie.

Hrabia G. był młodym, dzielnym oficerem w wojsku pruskiem. Młodzieńcza jego wesołość i dowcip obfity, zjednały mu serca wszystkich towarzyszy. Choć z żywości młodzieńczej niejedną psotę wyrządził, to serce miał nieskalane i wiarę niezachwianą.

Będąc od rodziców w pobożności wychowany, zachował w głębi serca nauki od nich otrzymane i nie wstydził się, jako wierny syn Kościoła, wypełniać obowiązki swoje.

Pewnego dnia szedł z kilkoma towarzyszami jedną z głównych ulic miasta. Właśnie zaczął im wśród głośnego śmiechu opowiadać swe przygody. Ale nagle przerwał, odkrył głowę i klęknął pobożnie, bo oto zbliżał się kapłan, który niósł Najświętszy Sakrament do chorego. Choć wszyscy jego towarzysze byli katolikami, żaden jednak nie poszedł za jego przykładem i owszem jakiś uśmiech szyderczy igrał na ich ustach.

Skoro kapłan minąwszy ich, był daleko, hrabia G. dalej snuł wątek przerwany swego opowiadania.

Wieczorem tego samego dnia dostał wraz z kilkoma swymi przyjaciółmi zaproszenie na obiad do pułkownika N. Gdy już wino poczęło skutki swe wywierać, nie mogli z nich niektórzy się powstrzymać od szyderstwa, że młody oficer na publicznym gościńcu uklęknął.

— To rzecz iście niegodna żołnierza — mówili. — Pułkownik, który był również wolnomyślnym, zapytał także hrabiego G. w tonie szyderczym:

— Czy to rzeczywiście prawda, że Jaśnie Oświecony hrabia G. przed kawałkiem chleba w prochu się tarzał?

— Tak jest, panie pułkowniku, ja to uczyniłem. Ale proszę odpowiedzieć mi także na jedno pytanie.

— Mów pan — odrzekł pułkownik zaciekawiony.

— Dajmy na to, żeby nasz cesarz, nasz najwyższy pan, przechadzał się w stroju żebraczym po ulicach miasta. Czyż przebranie się jego byłoby dostateczną przyczyną, abym mu odmówił należytego uszanowania, gdybym go spotkał?

— Co za pytanie? Powinieneś pan przecież wiedzieć, że w jakiemkolwiek przebraniu cesarz by szedł, zawsze on jest najwyższym panem, więc pan jesteś obowiązany oddać mu cześć należytą.

— W takiem samem położeniu ja się znajdowałem — odrzekł hrabia G.

Pod niepokaźną postacią chleba był ukryty Bóg, Najwyższy Pan wszystkich cesarzów i królów ziemi, więc obowiązkiem moim, jako katolika, było oddać Mu cześć należytą. Gdybym zaś był tego obowiązku z obawy przed szyderstwem ludzkiem nie spełnił, byłbym podłym tchórzem!

Szydercy umilkli!

PRZECZUCIE.

Było to w roku 1830, gdy Ksawery Kipfsztul, syn ubogiego kołodzieja, jako kleryk w biskupiem seminaryum w mieście Eichsztet, przygotowywał się do święceń kapłańskich. Był on powszechnie lubiany tak przez swoich prze-

łożonych, jak i przez kolegów-kleryków z powodu wesołego usposobienia i pięknych zalet ducha.

Pewnego jednak dnia — a było to po odmówieniu wspólnych modlitw — spostrzegli koledzy, że Ksawery jakoś posmutniał i miał zapłakane oczy. Jeden więc z nich zapytał go o przyczynę smutku.

»Ojciec mój umarł« — odrzekł Ksawery.

»A skąd o tem wiesz?«

»Dziś o 12-tej w nocy skonał; byłem sam przy jego śmierci«.

Przyjaciele starali się wybić mu z głowy te przykre myśli, mówiąc, że to tylko sen, mara i zabobon. Ksawery zaś mówił dalej: »Było to poprzedniej nocy o godzinie 11; aż do tego czasu spałem dobrze. Naraz znalazłem się niespodziewanie w domu rodziców. Ojciec mój skarżył się matce na nagłe zasłabnięcie.

»Jestem ciężko chory« — mówił ojciec — »sprowadźcie mi księdza; chcę się zaopatrzyć« I widziałem, jak ojciec leżał w łóżku, słyszałem zupełnie wyraźnie jego słowa, widziałem, jak matka zbudziła rodzeństwo i posłała co tchu po spowiednika. Na własne oczy widziałem dalej, jak do pokoju ojca wszedł ksiądz w kościelnych szatach z Panem Bogiem. Słyszałem modlitwy księdza i jak ojciec mój powiedział do niego te słowa: »Och! gdyby tylko mój Ksawery był przy mnie!« Spowiednik uspokajał chorego, mówiąc: Poślę jutro raniutko posłańca z listem do Eichsztetu, to syn wasz z pewnością tu przybędzie. I słowami: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus« pożegnał ksiądz chorego.

Widziałem, jak moja matka odprowadziła księdza do drzwi. Zaledwie jednak spowiednik opuścił progi domu, wybiegł za nim mój brat, wołając: »Ojciec umiera!« Ksiądz zawrócił spiesznie z drogi, ale nie zastał już ojca przy życiu. Słyszałem krzyki i biadania mojej drogiej matki i rodzeństwa i razem z nimi zalewałem się łzami.

Wtem uczułem nagle, że leżę w łóżku, zapłakany i przejęty uczuciem boleści, żem stracił ojca, który nie doczekał się niestety spełnienia swojego gorącego życzenia, ażeby widzieć syna, odprawiającego pierwszą Mszę św. — Zobaczycie, drodzy przyjaciele, że opowiadanie moje jest prawdą!«

Było wtedy zwyczajem, że przełożony wspomnianego seminaryum, niejaki ks. Grzegorz Ainmiller, odbywał codziennie o godzinie w pół do 8 wieczorem pogadanki religijne z klerykami i przysposabiał w ten sposób przyszłych duszpasterzy do ich zawodu.

Otóż tego samego dnia w czasie tej pogadanki wywołał ks. przełożony kleryka Ksawerego i zadał mu takie pytanie: »Niech sobie Jegomość wyobrazi, że jest wikarym na pewnem probostwie, gdzie przebywa chwilowo jako uczeń jakiś młody człowiek, któremu niespodziewanie prędko umarł ojciec. Rodzina pisze do Jegomości, ażebyś zawiadomił syna we właściwy sposób o śmierci ojca i przygotował go tak, ażeby nieszczęśliwy przyjął przykre zrządzenie Opatrzności ze spokojem i poddaniem się woli Bożej. Jak więc postąpiłby Jegomość w takim wypadku?«

»Wielebny Ojcze!« — odpowiedział Ksawery — »tym synem — jestem ja; wiem już, żem stracił ojca«.

Pokazało się następnie, że wszystko, co opowiadał Ksawery, było zupełne zgodne z rzeczywistością. Tak więc siła przeczucia pozwoliła synowi widzieć dokładnie śmierć ojca, przy którego łożu nie mógł być obecnym.

Pięćdziesięcioletni pożar.

Gdy do kopalni węgla kamiennego dostanie się ogień i w następstwie wznieci pożar, to nader trudno ugasić ten pożar, zwłaszcza, gdy nie da się odciąć ogniska tegoż od resztek kopalni i przystępu powietrza. Wiadomo bowiem, że węgiel bez powietrza palić się nie będzie.

Oto fakt, który zdarzył się przed pięćdziesięciu laty w Ameryce, w Pensylwanii. W tamtejszej kopalni, gdy pewien górnik wychodził już z szybu, uderzył przypadkiem lampką o belkę korytarza. Kilka iskier padło na spruchniałe i stłuszczone drzewo; górnik nie zwrócił na to prawie uwagi, sądząc, że iskry te zagasną, zanim ujdzie jeszcze kilka kroków. To też wyszedł spokojnie z kopalni i dopiero następnego dnia dowiedział się o strasznym skutku swej nieostrożności. Iskry bowiem te wystarczyły do wzniecenia pożaru, a w ciągu nocy ogień rozszerzył się już głęboko

w górę węglową. Strażnik ogniowy, przychodzący wczas rano do kopalni, ujrzał gęste kłęby dymu wydobywające się z szybu, a z głębi kopalni dochodziły odgłosy gwałtownego wybuchu gazów.

Natychmiast nadbiegła pomoc, jednakże wszystko nadaremnie. Wielu strażników zginęło w dymie i płomieniach, pożar szerzył się coraz dalej i dalej, obejmował coraz nowe pokłady węgla. Zamurowano wejścia do szybów, kolonia górnicza pozbawiona pracy, rozprószyła się w dalekie strony, domy opustoszały i powoli chyliły się do upadku.

Góra paliła się wewnątrz przez szereg lat, zanim ponowiono próbę ugaszenia ognia. Uczeni wymyślili tymczasem nowe skuteczniejsze środki ratunkowe, tak, że pomoc stała się możliwszą i skuteczniejszą. Zabrano się więc do pracy z energią i nadzieją zwycięstwa. Ale pożar i tym razem odniósł stanowcze zwycięstwo nad usiłowaniami ludzi. Kopalnia leży wprawdzie w pobliżu dwóch rzek, ale powyżej ich powierzchni wody. Zresztą inżynierowie orzekli razem, że gdyby nawet udało się część kopalni zatopić, to i tak woda nie doszłaby do ogniska pożaru, bo nie dopuściłyby jej tam zgęszczone powietrze i para wodna.

Obecnie dopiero po upływie 50-ciu lat, od wszczęcia się pożaru, gdy ogień pożarł już miliony kilogramów węgla, przystąpiono po raz trzeci do walki, z tem większą nadzieją, że wynaleziono nowe środki ratunkowe, które w innych kopalniach węgla oddały wyborne usługi przy gaszeniu pożaru.

Zapomocą olbrzymich pomp zalewa się kopalnię mieszaniną wody i »culmu«, który tworzy się również w kopalniach węgla, a składa się z piasku, łupków krzemiennych i t. p. Mieszaninę tę, wyglądającą na błotnistą masę, pompują do wnętrza kopalni, tuż nad miejscem, które jest ogniem objęte. Codziennie wlewają maszynami około 200 milionów litrów wody z »culmem«, który kamienieje tamże i powoli odgranicza miejsce ogniowe od reszty kopalni. Inżynierowie sądzą, że w ten sposób w ciągu dwóch lat ugaszą ów pół wieku trwający pożar.



KRZYWE WIEŻE W BOLONII.

W wiekach średnich budowano często wieże dla ozdoby kościołów i zamków obronnych, stąd tyle widzimy wieżyc przy kościołach i dawnych siedzibach magnatów.

We Włoszech widzieć też można, zwłaszcza w miastach Bolonii i w Pizie krzywe wieże, pochylone ku ziemi nie ze starości jednak, tylko sztucznie i naumyślnie tak pochyło zbudowane. Świadczą one o mistrzostwie tych budowniczych, którzy je stawiali.

Nazwiska ludzi.

Nie możemy dziś pojąć człowieka bez nazwiska dziedzicznego, t. j. przechodzącego z ojca na syna. A jednak w całej Europie nazwiska takie upowszechniły się dopiero w wieku 15-tym a utrwaliły w następnym. Przedtem każdy wymieniał tylko swoje imię i miejsce, z którego pochodził.

Książę litewski Mendog miał syna Olgierda, Olgierd Jagiełłę; nazwiska rodowego nie używano. Szlachcic obok imienia wymieniał herb swój, włość lub zamek dziedziczny. Naruszewicz w swojej »Historyi narodu polskiego« powiada: »Starożytni Polacy nazywali się naprzód od herbów, n. p. Ciołek, Jastrzębiec, powtóre od wiosek, np. Piotr z Chodzca, z Zakliczyna, po trzecie od imion ojcowskich, jak dotąd Rusini, np. Jan Janowicz (syn Jana), Witek Bieniewicz, t. j. syn Bieniasza (Benedykt). Herb czyli po polsku »zawołanie«, t. j. hasło, znak, wyraz, zwołujący ród herbowy na wojnę, był oczywiście dziedzicznym i u szlachty średniowiecznej mógł do pewnego stopnia zastąpić rodowe nazwisko. Stąd nazwy wielu herbów stały się nazwami wielu rodów i wielu wsi, które były tych rodów gniazdem i dziedzictwem. Do takich należą: Bogoria, Jastrzębiec, Działósza, Przyrowa, Łada, Dąbrowa, Godzięba, Sulima, Szeliga, Rawicz, Rogala, Dołęga, Doliwa, Cholewa, Skuba i t. d.

Niektóre nazwiska rodowe potworzyły się ze starodawnych imion polsko-słowiańskich, np. Chwalibóg, Wszebor, Sędzimir, Bożym, Dzierżek, Włodek, Bohufał, Gniewosz, Strzębosz, Niemiera, Wojsław, Wojno.

Starsze może od nazwisk są przezwiska i przydomki, służące zwykle jako określenie jakiegoś wybitniejszego przymiotu pewnej osoby: wady, cechy, kalectwa, pochodzenia, rzemiosła, dziwactwa, przyzwyczajenia lub ubioru. I tak: króla Bolesława I. z powodu niesłychanej waleczności przezwano Chrobrym. Bolesław III., który był również walecznym jego pra-prawnukiem, ale od wrzodu miał w młodości skrzywione usta, nazwano Krzywoustym. Henryka, księcia śląskiego, z powodu, że nosił brodę, gdy inni Piastowicze brody golili, przezwano Brodatym. Bolesław, drugi z kolei syn Krzywoustego, był Kędzierzawy. Z dwóch Władysła-

wów, jeden był dla wielkiego wzrostu i długich nóg, Laskonogi, a drugi dla małej postaci przezwany został Łokietkiem.

Przezwiska dawano w Polsce zarówno książętom jak dygnitarzom, szlachcie, kmieciom i najuboższym sługom. Dla tych, którzy nie mieli herbów, ani dziedzicznej ziemi, przezwiska były potrzebą, więc nic dziwnego, że przezwiska ludzi zapisywano w urzędowych dokumentach jako ich nazwy. Najstarsze podobne nazwy z dokumentów polskich XI., XII. i XIII. wieku są: Babka, Baran, Bacz, Brzuchaty, Byczek, Białowąs, Dąbek, Górka, Gąska, Graza, Jajko, Jęzor, Kaczka, Kwasek, Kwiatek, Kwiecik, Kłobuczek, Kłos, Kobyłka, Komor, Kołacz, Krzykała, Kędziera, Masło, Miedźwiedź, Myszka, Męka, Opoka, Patoka, Piwona, Piskorz, Poniat, Piast, Pirwosz, Pomian, Pękawka, Rak, Rożek, Sokół, Stróż, Wilczek, Wilczęta, Wojno, Warga, Wierzbięta, Żwan, Żuk, Zabrat, Zając, Zajączek, Zajączko, Zator.

Przy niektórych nazwach położone są imiona, co wskazuje, że nazwy te mogły już być dziedzicznemi lub służyć wspólnie braciom, np.: Paweł Górka, Stanisław Kopyto, Jakób Koryto, Sulisław Mądry, Świętosław Opór, Jan Osina i t. d.

Długosz podaje, że w Polsce za czasów Władysława Jagiełły nastał zwyczaj tworzenia nazwisk od posiadłości, to jest przez dodanie końcówki przymiotnikowej *ski* lub *cki*. Zwyczaj ten upowszechnił się w drugiej połowie 15-go wieku, naprzód u średniej szlachty, bo panowie pisali się jeszcze po staremu: Łukasz z Górki, Jan na Tęczynie i t. p. Nazwiska atoli na *ski* i *cki*, tworzone już i w 14-tym wieku z nazwy wsi rodzinnej lub dziedzicznej, były z początku o tyle tylko dziedziczne, gdy syn dziedziczył po ojcu tę samą wieś, z której powstało ich nazwisko. Jeżeli zaś odziedziczył i osiadł w innej, to i nazwisko nowe tworzył, a tak zdarzało się, że każdy w innej wsi zamieszkały, synowie i ojciec, każdy innego używał nazwiska.

Przykład zmiany nazwiska mamy na kronikarzu Marcinie Bielskim (urodz. 1495, zmarł 1575 roku), pierwszym, który dla narodu swego pisał dzieje powszechne po polsku. Po ojcu Marcin, nazywał się Wolski, od wsi Woli, a gdy osiadł we wsi Biała, koło Pajęczna, został Bielskim, a syn

jego Joachim już zatrzymał to nazwisko ojcowskie. Paprocki w swoim herbarzu polskim powiada, że gdy Bartosz Remar kupił wieś Wilkowice, synowie jego zostali Wilkowskimi.

Apostoł czyśca.

Na prawym brzegu Sekwany*) stoi stary klasztór, w którym z początkiem dziewiątego stulecia żył zakonnik imieniem Klodualđ. Młodo wstąpił do klasztoru, w świecie zostawił imię sławnej rodziny i majątek i już 50 lat przeszło żył ku zbudowaniu swoich współbraci; nikt mu w ciągu jego długiego pobytu w klasztorze nie mógł nawet cienia jakiegokolwiek błędu zarzucić.

Szczególne zamiłowanie wszakże znajdował brat Kloduald w nauce. Dni całe przesiadywał zamknięty ze swemi książkami w celi, z której go tylko reguła klasztorna wywabić zdołała.

Razu pewnego, gdy brat Kloduald czytał Stary Testament, wzrok jego padł na miejsce z księgi Machabejczyków: Świętą i zbawienną jest rzeczą modlić się za zmarłych.

Spuścił głowę na piersi i długo myślał nad temi słowami.

Modlitwa za zmarłych nie była dlań rzeczą nową, bo od dzieciństwa modlił się za tych, których przewinienia wstrzymywały od oglądania oblicza Pańskiego — ale w owej chwili myśl ta wywarła nań niezwykle silne wrażenie.

Chociaż bowiem dotychczas modlił się podług przepisów Kościoła za zmarłych, to jednak często straszne wątpliwości w duszy jego powstawały.

— Kto wie — mówił sobie w takich chwilach — czy ta modlitwa nie jest na próżno. Czyż Sędzia odwieczny nie wydaje w chwili śmierci nieodwołalnego wyroku?

I ta myśl, którą zwalczał wszelkiemi siłami, wracała nieustannie, męcząc go straszliwie.

Serce jego czuło wielką miłość ku zmarłym, więc nie mógł się na to zgodzić, by ich bezwzględnie potępić — a jednak wspomnienie tylu zbrodni widzianych w świecie

*) »Sekwana« jest główną rzeką we Francyi.

budziło w nim wstręt i pragnienie zadośćuczynienia sprawiedliwości Bożej.

Raz wśród takiej rozterki duchownej ukląkł był w swojej celi i dłużej niż zwykle z rozpostartemi rękoma się modlił. Gdy wstał, oblicze jego zalane było łzami, a twarz jaśniała uniesieniem i szczęściem, widać Bóg oświecił jego duszę.

— Przestanę już wreszcie być — mówił sobie w głębi serca — nieużytecznem stworzeniem na świecie. W czyścu cierpią tysiące biednych dusz najokropniejsze męki i napróżno wzywają miłosierdzia żyjących. Poświęcę dni mego życia, jakie mi jeszcze pozostały, by ulżyć ich cierpieniom, będę ich opiekunem, ich apostołem.

Potem udał się do O. przeora, padł mu do nóg i otworzył mu całe swe serce. Prosił go o pozwolenie na pielgrzymkę od klasztoru do klasztoru, od wsi do wsi, od miasta do miasta, aby pobudzać wszędzie ludzi do miłosierdzia względem zmarłych.

Przeor pozwolił chętnie na prośbę brata Klodualda, bo uznał w niej Bożą wolę.

— Dzieło, które przedsiębierzesz, wielkie jest i pożyteczne; idź, bracie Klotualdzie, a my prosić będziemy Boga, by ci dał odwagę i siłę do twej pracy.

— Amen, — odpowiedział zakonnik, a potem jeszcze nieśmiało dodał:

— Miałbym jeszcze jedną prośbę.

— Mów, synu!

— Oto biblioteka klasztorna zawiera liczne dzieła, których rady jeszczebym chciał zasięgnąć i stąd chciałbym moją podróż o kilka dni opóźnić.

— Z całą chęcią pozwalam ci to, mój synu, — zbierz wszystko, co Stary i Nowy Testament, co Kościół św., Papieże, Ojcowie Kościoła, Męczennicy, uczeni i wieszcze o czyścu napisali i wyciągnij z tego jak największą korzyść.

Rad wziął się brat Klodualad do dzieła. Czternaście dni badał księgi i pisał, odmawiał sobie w tym czasie pokarmu, by go Bóg tem szczodrzej oświecił, a gdy skończył swe dzieło, pożegnał się z braćmi, uchwycił za kij podróżny i poszedł w świat.

Według słów Zbawiciela nie dbał o odzienie i pokarm, nie zważał na urągania, drwiny i klątwy niegościnnych i bez-

bożnych, szedł ciągle dalej, a wszędzie, czy do drzwi kmiotka, czy do dworu szlachcica zapukał, wołał: Nie zapominajcie o waszych drogich zmarłych, módlcie się za nich i zadawajcie sobie umartwienia, by Bóg męki ich skrócił.

Gdy przekroczył próg gościnny, wtedy wyciągał pergaminy z kieszeni i przedstawiał zdania Świętych i Doktorów Kościoła o życiu przyszłem i cierpieniach dusz sprawiedliwych w czyścu. Wtedy klękano u stóp jego i modlono się z nim wspólnie; w klasztorach modlili się z nim zakonnicy, w chatach wiejskich wieśniacy, na wysokich zamkach rycerze — i obiecywali odtąd pamiętać o zmarłych.

Wielka cześć i sława poczęła otaczać brata Klodualda, który tak lat 30 swego życia spędził.

Aż pewnego zimowego wieczoru, wyczerpany, skostniały, padł u furty jednego z klasztorów nad Renem. Nie miał już tyle sił, by wołać ludzi o pomoc, śnieg padał coraz gęściej, i starzec sądząc, iż ostatnia jego godzina nadeszła, złożył ręce do modlitwy i oczekiwał śmierci.

W tej chwili zbliżyło się kilku zakonników wracających z podróży, a ujrzawszy »apostoła czyśca«, jak go ogólnie zwano, leżącego bez sił na ziemi, zabrali go do klasztoru i otoczyli troskliwą opieką.

I zdołał jeszcze brat Kloduald podziękować miłosiernym zakonnikom za przytułek, polecił, jak zwykł to był czynić, dusze w czyścu ich opiece, a potem wyciągnął z habitu zwój pergaminów i oddając go opatowi klasztoru, wyszeptał:

— »To jest mój skarb, czerpajcie zeń, jak ja czerpałem« — i po tych słowach Bogu ducha oddał.

I wierni temu testamentowi »apostoła czyśca« bracia zakonni przejęli się jego duchem i naśladowali go w gorliwości, wiedząc dobrze, iż miłosierdzie nasze względem zmarłych u Boga dla nas miłosierdzie nam wyjedna.

Czy będzie jeszcze raz potop?

Amerykański uczony, nazwiskiem Leon Lewis, zapewnia, iż koniec świata może nastąpić za tysiąc, za sto, za dziesięć lat, ale także może i jutro, pojutrze, wogóle w każdej chwili.

Uczony ten powiada, że około bieguna południowego panuje zimno, a śnieg pada tam prawie bez przerwy. Rozumie się, że śnieg ten wcale nie taje, gdyż, jak już wyżej było wspomniane, panuje tam ciągłe zimno, więc pokłady tego śniegu zwiększają się. I tak, jeżeli pada przez 10 tysięcy lat, to opady śniegowe dojdą do wysokości 92 kilometrów.

Śnieg ów pod własnym ciężarem zbija się w lód, którego olbrzymie masy ciągle wzrastają, pomimo, że urywają się ustawicznie góry lodowe. Obecnie powłoka lodowa na biegunie południowym jest tak wielką, jak cała Ameryka północna. Dopóki ta masa lodu trzyma się, dopóty istniejemy na tej ziemi. W chwili, gdy lody owe prysną, jesteśmy zgubieni, wtedy bowiem nastąpi potop lodowy, który, jak twierdzi ów uczony — już kilkakrotnie nawiedzał naszą ziemię.

Ogromna ta masa lodu i wody pędzić będzie ku północy, przez ocean Atlantycki, a na puste miejsce w biegunie południowym wejdzie od wschodu ocean Indyjski, a od zachodu ocean Spokojny.

Dlaczegoż potop ma właśnie iść przez ocean Atlantycki? Ponieważ leży tam prastara linia, odgraniczająca od siebie oba lądy, po drugie, ponieważ tą drogą płynęły dawniej potopy lodowe. Masy lodów, wskutek obracania się ziemi, pchane ku zachodowi i ku zachodnio-południowym brzegom Ameryki, wyżłobiły tam głębokie wcięcia w ląd.

Potop lodowy opłynie północno-zachodnią Afrykę, zachodnią Europę, Anglię, Irlandyę, Niderlandy, wschodnio-południową Szwecyę, Finlandyę i północno-zachodnią Rosyę, niszcząc po drodze wszystko i równając z ziemią.

Wogóle lody te pokryją całą północną półkulę. Uczony ów twierdzi również, że potop ten dwa razy nawiedzi północną Europę i Anglię raz, gdy będzie pędzić na północ, drugi raz powracając od bieguna północnego. To samo działo się z Anglią podczas dawniejszych potopów lodowych, i dlatego pozostały z niej szczątki tylko.

Niegdyś bowiem Anglia połączona była z Europą i Grenlandyą. Po tym potopie nastąpi na naszej kuli okres lodowy, taki, jaki mamy dziś na biegunach.

A no zobaczymy, a może nie zobaczymy!

Domy na kołach.

Sławnym na cały świat stał się wieśniak polski w Poznańskiem, niejaki Drzymała, któremu władze pruskie nie pozwoliły zbudować domu na jego własnym kawałku ziemi. Drzymała kupił sobie wóz, w jakim jeżdżą po świecie właściciele menażeryj i panoram, ustawił go na swym gruncie i w nim mieszka.

Prusacy nękają go ciągle różnemi karami, ale owego domu na kołach ani mu zabrać ani zburzyć nie mogą, bo według ustawy wolno w takich wozach mieszkać.

Podobne mieszkanie jeszcze przed Drzymałą urządził sobie na Kaszubach niejaki Jan Pepliński w Wieprznicy. Nie kupował on atoli tego wozu od komedyantów, ale sam go sobie zbudował z własnego drzewa i rozgospodarował się w niem na dobre z żoną i trojgiem dzieci. Pepliński nie zraża się przeciwnościami, jest wesół i powtarza po kaszubsku: »Ciej Pon Bog wnetki nie zmieni, to my i dłużej wytrzymome«.

Takie domy na kołach urządzają sobie nasi Bracia pod Prusakiem z konieczności, bo bestyalski Prusak, aby zgnębić polskich poddanych, naumyślnie nie pozwala im, nawet na własnej ziemi — budować nowych mieszkań.

Ale są ludzie, którzy urządzają sobie domy na kołach ze zbytków i z dziwactwa. Niedawno temu pojawił się na ulicach Paryża taki ciekawy dom na kołach — ale wielki i wspaniale wewnątrz urządzony.

Właścicielem tego ruchomego domu jest hrabia Sannevvo, który w swym wozie podróżuje wraz z żoną po całej Europie, i w ten sposób jest niejako ciągle u siebie w domu, a zawsze w podróży.

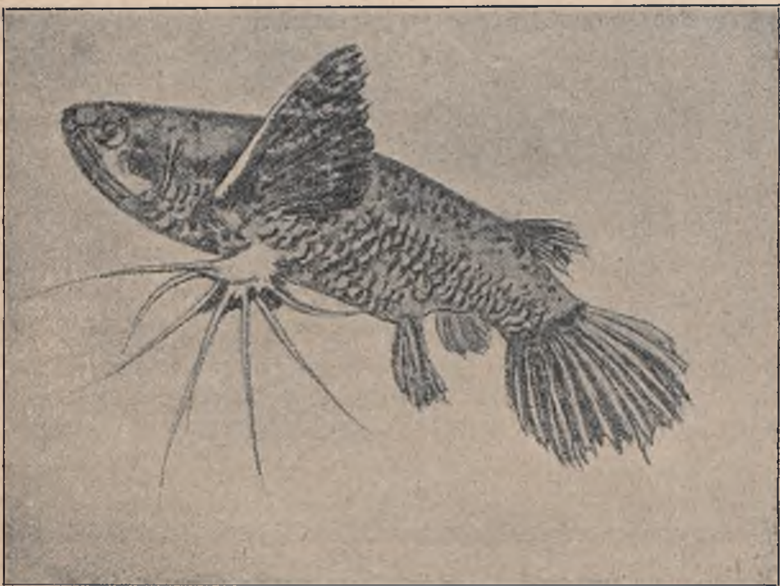
W wozie tym mieści się pokój sypialny, jadalnia, salon, pokój do pracy i kuchnia. Hrabia wozi ze sobą także służbę, zwiedza po drodze piękne okolice, zatrzymuje się gdzie chce, czy w mieście, czy w lesie bezludnym, nie zmieniając codziennego trybu życia.

Wędrujący ten dom zbudowany jest jeszcze w ten sposób, że w razie potrzeby, można go zdjąć w całości z kół i wstawić na okręt.

Ryba fruwająca.

Szczególniejszą rybę odkryto w Afryce, w wielkiej rzece Kongo. Ryba ta, niezbyt wielka, ma nadzwyczaj rozrośnięte płetwy piersiowe, tak, że może nie tylko pływać w wodzie ale i fruwać po powietrzu.

Jak tylko zobaczy jakiego owada, unoszącego się nad powierzchnią rzeki, wyskakuje z wody i fruwając goni w powietrzu upatrzoną zdobycz, poczem wraca znowu do wody.



Ryba fruwająca.

Dodać jeszcze należy, iż owa szczególniejsza ryba ma bardzo piękne złoto-żółte mieniące się ubarwienie z czerwonemi plamami na bokach i płetwach.

Ryba ta, nazwana »pantodon«, w Europie nie znajduje się wcale; w roku zeszłym sprowadzono jedną sztukę, którą pewien uczony niemiecki chowa u siebie w umyślnie urządzonym zbiorniku błotnym z płytką wodą. Jak się ta rybka rozmnaża, dotychczas nie zbadano.

Kiedy trwoga, to do Boga!

Hrabia Chateaubriand, sławny katolicki pisarz francuski, opowiada o takiem zdarzeniu ze swej podróży do Jerozolimy. Pierwszego sierpnia roku 1807 wyjechaliśmy z Tryestu. Nazajutrz poczęły chmury zwiastować zbliżającą się burzę. Od strony wybrzeży Kroacyi słyszeliśmy pierwsze odgłosy piorunów. O godzinie 3-ciej ściągnęliśmy żagle i zapaliliśmy małe światełko przed obrazem Najświętszej Maryi Panny, który był w kajucie kapitana okrętu.

Jakże wzruszającą, pomyślałem sobie na ten widok, jest ta pobożna wiara, która panowanie nad burzą przypisuje tylko wstawiennictwu Najświętszej Dziewicy.

Marynarze mogą być na stałym lądzie wolnomyślnymi, jak każdy inny, który się da uwieść niedowiarstwu i złym obyczajom, ale groźne niebezpieczeństwa wprowadzają ludzką mądrość w zamieszanie.

W takich chwilach staje się człowiek pobożnym, a wśród grozy burzy daje mu lampa zapalona przed obrazem Madonny wiecej uspokojenia, niż cała filozofia.

O godzinie 7 wieczór szalała burza najbardziej. Nasz kapitan począł się modlić, a z nim razem wszyscy marynarze i podróżni. Nigdy w mojem życiu nie odmówiłem Litanii Loretańskiej tak, jak tu na morzu.

Burza trwała jeszcze przez część nocy, potem wypogodziło się tak, że nad ranem mieliśmy już bardzo przyjemną i wesołą podróż.

Najświętsza Marya Panna okazała się jako »Stella maris«, jako Gwiazda morska. Zaiste prawdziwe są słowa: »Kiedy trwoga, to do Boga«. W czasie burzy nawet wolnodumca i niedowiarek stają się pobożnymi.

Śmiertelność z powodu wojen.

W chwili obecnej, kiedy dążenie do stałego pokoju jest coraz powszechniejsze, kiedy prawie we wszystkich krajach zakładają się towarzystwa pokoju, nie od rzeczy będzie przedstawić straty, jakie ponosi ludzkość z powodu wojen.

Ilość zabitych w wojnach w wieku 18-tym, kiedy to nie było jeszcze tak śmiercionośnej broni jak dziś, wynosiła 19 milionów ludzi. W ciągu zaś ostatnich 20-tu wieków zginęło na wojnach 1200 milionów. Na podstawie tych liczb, astronom Flammarion porobił ciekawe obliczenia. Krew tych ofiar wojny — mówi Flammarion — zajęłaby 1800 milionów wiader. Gdyby ciała poległych ułożyć jedno na drugiem, to utworzyłaby się drabina wysokości 50 tysięcy mil, po której możnaby dostać się na księżyc.

Gdyby wrzucić ciała zabitych do morza między Anglią a Francyą, to utworzyłby się pomost między tymi dwoma krajami. Gdyby głowy zmarłych położyć jedną obok drugiej, utworzyłaby się wstęga, która sześć razy opasałaby kulę ziemską. Takie straszne są skutki wojen dla ludzkości!

Straszny wynalazek.

Amerykański inżynier Tesla zbudował przyrząd, nazwany przez niego »telantomaton«, a który ma na celu uczynić wojny na morzu wprost niemożliwemi.

Jest to zupełnie mały statek, który da się kierować na morzu zapomocą telegrafu bez drutu, więc nie potrzebuje załogi. Gdy się okażą na morzu okręty nieprzyjacielskie, wypuszcza się naprzeciw nich ów statek, który w należytej od nich odległości i zupełnie sam zapomocą przyrządów samodziałających spuszcza na dno morza 600 cetnarów metrycznych nitrogliceryny, która się sama zapala i wybucha.

Skutki tego wybuchu są straszliwe; zrywa się wskutek ogromnego ciśnienia powietrza ogromna burza morska, która niszczy wszystko dokoła i zatapia.

Wynalazek Tesla może rzeczywiście położyć koniec strasznym wojnom morskim, bo dobra flota kosztuje przeszło miliard koron, a nie będzie chyba takich głupich obywateli, którzyby udzielili go rządowi na to, aby całą taką flotę zburzył przyrząd Tesla w przeciągu pięciu minut i na dno morza pogrążył.

ROZMAITOŚCI.

Dom o 47 piętrach. W Nowym Jorku (w Ameryce) stanie niezadługo gmach 47 piętrowy, jeden z największych na świecie.

Budowę doprowadzono już do 36 piętra. Gdy ukończą ten olbrzymi gmach, będzie on wysoki na dwieście kilkanaście metrów. Na wieży ustawiony będzie reflektor czyli duża powiększająca lampa elektryczna, zapomocą której w nocy będzie można widzieć na morzu w odległości 100 kilometrów.

Fundamenty gmachu są głębokie na 30 metrów. Ogółem spotrzebowanem będzie do budowy 18 tysięcy 365 ton czyli 18,365.000 kg. materyału stalowego i kamiennego.

W gmachu tym mieścić się będzie 2 tysiące 500 biur i umieszczonych będzie 8 wind. Oświetlenie równać się ma oświetleniu miasta o 25.000 mieszkańców.

Przypadkowe odnalezienie dziecka. W Moskwie (w Rosyi) miało miejsce przed niedawnymi czasy takie wzruszające zdarzenie. Oto do oficera przechodzącego z żoną, zwróciła się pewna dziewczyna z prośbą o jałmużnę. Żona oficera już wyjęła sakiewkę, gdy nagle, przyjrzawszy się dziewczynce, rzuciła się ku niej z okrzykiem radości, gdyż rozpoznała w niej córeczkę swoją, którą już uważała za straconą.

Rzecz miała się tak: Oficer ów był na wojnie z żoną i córką. Podczas odwrotu po bitwie pod Laojanem córka ich wpadła w ręce chunchuzów. — Później żołnierze odbili dziewczynkę i jeden z nich wziął ją na wychowanie, ale rodzice nic o tem nie wiedzieli. W Moskwie żołnierz ten wraz z dziewczynką żyli z jałmużny.

Kobieta za psa. To, co u nas nieraz jest wprost bezcenne, niejednako bywa gdzieindziej cenione. Ciekawe np. panują pod tym względem zwyczaje u Eskimosów w lodowatych okolicach, pod biegunem północnym. Za worek mąki dostaje się tam skórę srebrnego lisa, wartości 5000 kor. Ale to mniejsza; na punkcie kobiet, to istnieje tam formalny handel zamienny, poprzedzony zazwyczaj ucztą, w której jako napój pierwszą rolę odgrywa... tran wielorybi. Bywa jednak i tak, że jeden Eskimos zamienia

się z drugim tak, że daje mu psa, a w zamian bierze jego żonę. I nie jest to pod biegunem wcale ubliżeniem dla kobiet, ale pewnego rodzaju odszczególnieniem, bo... niema co obwijać w bawełnę — pies dla mieszkańca dalekiej północy więcej wart, niż kobieta.

Skutki pijaństwa. Handlarz drzewa Neubauer w Alland, w Badenii, powrócił w nocy pijany do domu. Podczas sprzeczki z żoną rzucił na żonę palącą się lampę. Nastąpił wybuch, od którego zapalił się dom. Żona odniosła ciężkie poparzenia. W palącym się domu pozostał Neubauer i sześcioro dzieci. Zanim przybyła straż ogniowa, spalił się Neubauer i czworo dzieci. Dwoje najmłodszych zdołano wyratować.

Przykładna kara. Sędziowie angielscy mają wielką władzę karania i oceniają winę oskarżonych według swego i publicznego zapatrywania. Niedawno w Londynie aresztowano mleczarza, w którcgo mleku znaleziono włosy, skorupki z owoców i inne podobne smakołyki. Sędzia skazał go na sześć miesięcy ciężkich robót! Jest to straszna kara, zwłaszcza jeśli się zważy, że angielskie ciężkie roboty są najsroższe w świecie. U nas taki mlecarz, nie poszedłby nawet na jeden dzień do więzienia.

Śmierć z przerażenia. W Konstantynopolu niedawno zaszedł straszny wypadek. W szpitalu amerykańskim w Taxim znajduje się oddział dla spokojnych waryatów, takich, którzy nie potrzebują ustawicznego nadzoru, bo są nieszkodliwi. Mogą oni swobodnie przechadzać się po korytarzach i ogrodzie, i nikt im w tem nie przeszkadza, Zdarzyło się tak, że ktoś ostatnimi czasy umarł w tym szpitalu. Pogrzeb miał się odbyć nazajutrz, a zwłoki złożono tymczasem w trupiarni; jak zwykle, nakryto nieboszczyka zasłoną jakąś i postawiono świece wokoło.

Otóż tego samego wieczora, któremuś z waryatów, spacerujących po korytarzach, przyszła ochota zajrzeć do trupiarni. Otworzył drzwi i wszedłszy, zobaczył umarłego. Zbliżył się do trumny, podjął pokrycie i nagle myśl mu jakaś strzeliła do głowy, obejrzał się wkoło siebie i przymknął drzwi. W jednej ze ścian trupiarni była szafa, gdzie umieszczano w razie potrzeby różne lekarstwa, środki desynfekcyjne, szarpie dla chorych i t. d.

Waryat wyjął nieboszczyka z trumny, otworzył szafę i umieścił w niej trupa, starając się, aby stamtąd nie wypadł, następnie zamknął starannie szafę.

Uczyniwszy to, sam się położył do trumny, oczekując dalszych wypadków. W chwilę potem kapelan szpitala dowiedziawszy się, że w trupiarni leży umarły, wziął swój brewiarz i przyszedł odmawiać modlitwy za umarłych.

Zaledwie rozpoczął czytanie, spojrzawszy w stronę trumny, ujrzał, że przykrycie na umarłym zaczyna się poruszać; nieboszczyk wysunął z pod prześcieradła głowę i wpatrzył się w księdza, i zaczął się śmiać. Biedny, stary kapelan, z przestrachu, jakby rażony piorunem upadł martwy na ziemię.

Dwaj dozorcy tymczasem, idąc obok trupiarni, zajrzeli do niej: ujrzawszy księdza rozciągniętego na podłodze, sądzili, że zemdlał. Rzucono się do szafy, żeby wydobyć z niej środki trzeźwiące, ale jakież było przerażenie tych ludzi, gdy z szafy wypadł na nich trup. W przestrachu szalonym pierwszą ich myślą była ucieczka, ale zaledwie się odwrócili, nowy straszny widok przedstawił się ich oczom — nieboszczyk wstawał z trumny. To już ich ostatecznie przeraziło, wyjąc więc ze strachu, poczęli uciekać — za nimi zaś z równą szybkością gonił waryat. W jednej chwili w szpitalu powstał hałas i zamieszanie; niedługo potem sprawa się wyjaśniła i szkodliwego waryata zamknięto, lecz nie pomogło to biednemu księdzu, który przestrach życiem przepłacił. Dozorcy obaj rozchorowali się.

Niedźwiedź, który mówi. Bawiący w Londynie cyrk Henglera posiadł jedynego w swoim rodzaju, a mianowicie mówiącego niedźwiedzia. „Miś“ ten jest nie tylko znakomitym gimnastykiem, ale także zupełnie wyraźnie odpowiada na pytania „tak“ lub „nie“. A kiedy pan jego mówi: „Zdaje mi się, że jesteś spragniony, czego sobie życzysz?“ odpowiada on: „A drop of rum“ (troszeczkę rumu).

Praca dzieci w Stanach Zjednoczonych. Biuro statystyczne Stanów Zjednoczonych ogłosiło niedawno sprawozdanie o pracy dzieci w państwach Unii. Według ostatniego obliczenia ludności, liczba zarobkujących dzieci

w wieku od 10 do 15 lat wynosiła jeden milion 750 tysięcy 176. Przeważna część dzieci była zajęta przy rolnictwie, mianowicie pracowało na wsi jeden milion 54 tysiące 446. Inne znajdowały zarobek w służbie domowej, jako roznosiciele, stróże i t. p., liczba ich wynosiła 126 tysięcy 617, w tem 17 tysięcy 59 chłopców. W fabrykach pracują dzieci przeważnie w przędzalniach bawełny. Liczba zarobkujących dzieci z rodzin tamtejszych jest znacznie mniejsza, niż dzieci z rodzin emigrantów.

Wychodźcy żydowscy, którzy osiedlili się w Palestynie, uciekają stamtąd. W koloniach nie mogą dostać roboty, różne choroby epidemiczne dokuczają bezustannie. Większa część przybyszów, przeważnie bardzo ubogich, marzy tylko o tem, żeby skądbądź dostać bilet na jazdę. Wielu morzy się głodem, a uzbierawszy na koszta podróży, wyjeżdżają.

A mimo to tu w Europie łudzą się niektórzy, że żydów zrobić można rolnikami. Od wielkiej biedy żydek pracuje, ale woli on zwykle lżejszą robotę, a kiedy niema sposobu handlu, to chwyta się przynajmniej furmaństwa.

Pies na usługach policyi. Niedawno temu, udało się policyi wiedeńskiej zaaresztować nadzwyczaj niebezpiecznego międzynarodowego złodzieja i włamywacza, przyczem po raz pierwszy użyto do pomocy psa policyjnego. Zbrodniarz strzelał kilkakrotnie z rewolweru do ścigającego go policyanta i tylko dzięki temu, że pościg odbywał się wśród ciemnej nocy, nie zabił, ani nie zranił nikogo. Nazywa się on Wilhelm Birnbaum, ma lat 30, pochodzi z Meklenburga i był dawniej subjektem handlowym.

Policyant spotkał go o północy, a podejrzywając przechodnia, chciał go zatrzymać. Ten jednak nie słuchając wezwania, począł uciekać, a podczas ucieczki dwa razy strzelił z rewolweru. Zaalarmowana temi strzałami wysłała najbliższa strażnica na pomoc czterech policyantów, tudzież tresowanego psa. Zanim jednak przybyli oni w pomoc swemu koledze, złodziej ze zręcznością kota przelazł przez sztachety jednej z will i zniknął w ogrodzie. Ze względu na panującą dokoła ciemność policyanci stracili ślad, wszelako pies przyszedł im z pomocą, gdyż stanąwszy koło sztachet, przez które złoczyńca przelazł,

nie chciał ani kroku dalej pójść. Był to dom pewnego nadwornego jubilera.

Policyanci zadzwonili na stróża, a gdy ten otworzył furtkę, pies szczekając wbiegł do ogrodu i stanąwszy pod jednem z drzew, wspinał się na nie i ujadał bez pamięci. Zaświecono latarnie i przy ich świetle dostrzeżono skulonego na jednej z gałęzi złodzieja, który widząc, że niema już dlań ratunku, zeszedł z drzewa na ziemię. Znaleziono przy nim rewolwer z nabojami i różne narzędzia służące do rozbijania zamków i kas. Dochodzenia policyjne wykazały, że Birnbaum karany był po raz ostatni w Hamburgu półczwartarocznem ciężkiem więzieniem za kradzież. Z więzienia wyszedł 5 sierpnia b. r. i od tego czasu odbywał podróże po Europie, popełniając zuchwałe kradzieże.

Duma Chińczyka. Chińczycy posiadają tak rzadkie brody, że można prawie policzyć ich włoski, ale właśnie dlatego cenią i szanują je bardzo. — Jeden z Europejczyków, który u mandaryna (to jest wysokiego urzędnika), swego przyjaciela, spostrzegł w brodzie siwy włos, wyrwał mu go, sądząc, iż wyświadcza mu tem przysługę. Mandaryn płakał nad utratą włosa, podniósł go i zachował troskliwie. Po długim oporze dopiero zgodził się na to, aby mu celem nalepienia plastra, zgolono kilka włosów na brodzie. Nawet cesarz chiński nie jest wolny od tej słabostki.

Co zjadają Wiedeńczycy. W pierwszem półroczu b. r. spożyli mieszkańcy Wiednia obojga płci 103 tysiące 284 wołów, 179 tysięcy 918 cieląt, 344 tysięcy 980 świń, 38 tysięcy 932 owiec i baranów, milion 974 tysięcy 590 sztuk drobiu, a ponadto jeszcze 3 miliony 897 tysięcy 396 kilogramów mięsa wołowego, 4 miliony 270 tysięcy 400 klgr. cielęciny i wieprzowiny, 102 tysiące 626 sztuk dziczyzny i milion 73 tysiące 54 klgr. ryb.

Jednak co do alkoholów, to w cyfrach przedstawiają się one dość umiarkowanie, bo Wiedeńczycy lubią pić, ale nie lubią się upijać. Ogółem więc wypito w minionem półroczu 331 tysięcy 966 hektolitrów wina, 620 tysięcy 626 piwa i 34 tysięcy 352 wódki.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.